

# PAUza

## Akademicka



Rok XIII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 542

Kraków, 28 stycznia 2021

[pauza.krakow.pl](http://pauza.krakow.pl)[pau.krakow.pl](http://pau.krakow.pl)

## Elity przychodzą i odchodzą, ale bywają też wymiatane

MARCIN KULA

Trudno sobie wyobrazić społeczeństwo, w którym nie byłoby wymiany elit. Nawet w systemie kastowym lub parakastowym jakaś wymiana następuje – nawet jeśli w ramach istniejących podziałów. W historii przyspieszającej, i nawet na co dzień umasawiającej zachodzące procesy, na prowadzenie muszą wychodzić coraz inne elity. Problem tylko w tym, że owa wymiana nie zawsze następuje na korzyść ludzi, którzy najbardziej zasłużyli, miewa różnorakie cechy, niekoniecznie pozytywne, a bywa też narzędziem walki właśnie w kierunku odsunięcia nowości. Przychodzące grupy czasem wchodzą w buty starych. Zerknijmy na te sprawy, zostawiając na boku rozumienie samego terminu „elita”.

\*

Stalin był zarówno wyrazicielem mas, które przysły do sowieckich miast w wyniku procesów uruchomionych przez rewolucję, jak i rozgrywał je przeciw dotychczasowym elitom, także tym komunistycznym. Wygrał. Na niższym szczeblu wygrywali wraz z nim inni awansowani. Gdy w jakimś momencie Tuchaczewski, b. carski oficer, wykształcony we francuskiej Szkole Wojennej w Saint-Cyr, na posiedzeniu Rady Wojennej przedstawił pogląd, że ewentualna przyszła wojna będzie wojną motorów, Jefim Afanasiewicz Szczadienko, z otoczenia Budionnego, dowódca dywizji kawalerii, w latach 1937–1940 (!) zastępca ministra obrony oraz szef tamtejszego Zarządu Kadr (!), powiedział mu: „Wojna motorów, mechanizacja i chemia to wymysły wojskowych ‘speców’”. Na razie najważniejszy jest konik” (cyt. za Pawłem Wieczorkiewiczem).

Jakie były skutki? Takie, że hitlerowcy doszli do Moskwy i Stalingradu. Trzeba było aż takiego niebezpieczeństwa, żeby coś w tej polityce zmienić. Zmienić wybiórczo, ale jednak coś. Bardziej niż polityka skierowana przeciw elitom intelektualnym zdumiewa mnie, że jednak w jej ramach lub obok niej wyprodukowano sprzęt zdolny pokonać Hitlera, a potem sputnika oraz bomby A i H. We wspomnieniach francuskiego dziennikarza K.S. Karola, który podczas wojny znalazł się w ZSRR i doświadczał tam różnorakich losów, jest opis sytuacji, gdy komendant szkoły pilotów dalekiego zasięgu musi przygotować referat na jakieś święto. Nic mu się nie klei – do momentu, gdy jego wzrok pada na portret Stalina i już wie! Pisz, że pilot dalekiego zasięgu winien znać myśl towarzysza Stalina! Jego piloci dolecieli jednak nad Berlin, uzbrojeni nie tylko w tę myśl.

Z grubsza to samo można powiedzieć o systemie hitlerowskim. Przecież Hitler nienawidził elit. Momentem jego wielkiego triumfu było, gdy po Anschlussie stał wśród wiwatujących tłumów na balkonie wiedeńskiego hotelu, przed którym parę lat wcześniej odgarniał śnieg i czapkował przed wchodzącymi gośćmi. W bezpośrednim otoczeniu Hitlera występowali ludzie ze średnio niższych szczebli hierarchii społecznej, a wśród wiernych mu

mas liczni byli ludzie z grup wyraźnie niższych. Co zdumiewa, to to, że kierowane przez awansowanego prostego człowieka Niemcy uznały jednak argumenty płk. Guderiana, iż przyszła wojna będzie wojną motorów i niestety wyciągnęły z tego wnioski. Elit artystycznych Hitler też nienawidził, ale jednak jego sympatyczka Leni Riefenstahl była wielką reżyserką filmową. W innych krajach tacy ludzie, jak Eliade, Cioran, Ionesco czy Bergman, mieli na początku sympatie faszystowskie – a z czasem stali się wybitnymi twórcami. Droga do elity niejednego później znaczącego myśliciela prowadziła także przez komunizm, w Polsce nawet przez Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Bo jednocześnie oba te straszne ustroje zdawały się uosabiać coś nowego na tle zmurszałego świata.

(Uwaga bardzo osobista: w przeddzień świąt wysłuchałem w TOK FM godziny poezji Mickiewicza i Norwida, organizowanej przez moją uczelnię – Akademię Teatralną w Warszawie – oraz Muzeum Literatury. Wysłuchałem m.in. recytacji *Ody do młodości*, której przecież od dawna nie czytałem i nie słuchałem. Byłem pod silnym wrażeniem. Zmurszały świat zostanie pchnięty nowymi torami przez młodych... To zabrzmi strasznie, ale uświadomiłem sobie, że gdy mówiłem studentom o faszyzmie i o komunizmie, to właśnie tłumaczyłem, że jeden i drugi kierunek obiecywały nowy świat, proponowały młodość, przyjmowały młodość... No i co wyszło z tego obalenia zmurszałego świata? Co wyszło z wyjścia młodości ponad poziomy dla budowy nowego?)

\*

Sprawa walki z elitami pojawiała się nie tylko w ustrojach, które stały się symbolami XX w. Występowała również w także mało sympatycznych, ale jednak nieporównywalnych – a mianowicie w ustrojach populistycznych. W ramach populizmu, z jego tendencjami autorytarnymi, paradoksalnie przywraca się ludziom poczucie wartości, sprawczości, dowartościowuje się lud przez deprecjonowanie elit... Wprowadza się określenie „łże-elity”. W niejednym ustroju, w ramach akcentów populistycznych, przedstawiano sytuację tak, jakoby wszystkie grupy były razem, bogatsi z biedniejszymi, silni ze słabszymi – wszystkie poza tymi przekłętymi elitami. Na marginesie wszystko to obracało i obraca się przeciw nauce, naukowcom, uczelniom, przypominając opinię Lenina, że każda kucharka będzie mogła rządzić państwem. Trump i Bolsonaro lepiej wiedzą, jak walczyć z koronawirusem niż nauka, w badaniach historycznych też należy wykształcić nowych historyków. Trzeba, nawet jeśli bez użycia tych słów, mówić o „wstawaniu z kolan”, o własnej historii jako wielkiej, o tym, że „jesteśmy dumnym narodem”, o „naszym pięknym i dumnym państwie”. Trzeba akcentować własną kulturę, być przeciw kłanianiu się przed obcą (Stalin notabene też krytykował *niskopokłonstwo pieried Zapadom*). ►



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

► Takie były motywy populistów – Vargasa w Brazylii czy Perona w Argentynie. Między swoimi można było mówić „ciemny lud wszystko kupi” (w wersji lokalnej: „zrobmy rewolucję, nim zrobi ją lud”). Można było głosić, że elity już się dosyć nakradły. Perón, wraz ze swoją żoną Evitą, rozdali ludziom więcej niż po 500 zł na dziecko. Dbali o poparcie *descamisados* („bezkoszulowcy”; sens taki jak „sankiuloci” w rewolucji francuskiej). Czy tam, czy jeszcze w wielu krajach, ludzie akceptowali autorytaryzm w przekonaniu, że nareszcie ktoś się o nich troszczy. Co ważne, w dyskursie pojawiało się zagrożenie zewnętrzne i – w latach trzydziestych XX w. – obawa, że połączone floty niemiecka, włoska i polska (!) najadą wybrzeże brazylijskie. No i w wypadku Perona – to już później – myśl o własnej bombie A. Podtrzymując taki dyskurs, można było

pomijać mętne sprawy i bogactwo liczących się postaci własnego obozu, czy, jak Evita Perón, chodzić do ubogich dzielnic z biżuterią na szyi. Można było mówić o elicie stołecznej jako o przeciwieństwie pozostałej części kraju (w wersji bliższej: o „salonie warszawskim”, „warszawce”, czy o własnym pochodzeniu z inteligencji krakowskiej, a nie z „krakówką”). Można było twierdzić – że „oni” działali na rzecz elit, podczas gdy „my” służymy ludziom, a „nasze” działania są możliwe dzięki pieniądзом odebranym złodziejom, bowiem w pierw pozwalało kraść. Przed popełnieniem samobójstwa wspomniany prezydent Vargas zostawił list skierowany do ludu, przeciwny elitom; sądząc po demonstracjach po jego śmierci, utrafił w uczucia ludu. Wspomnienia o jego dobrej „dla ludzi” polityce słyszałem jeszcze w 1996 r. na brazylijskiej prowincji.

MARCIN KULA

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie

## Wyzwanie Dalekiego Wschodu: Singapur, obie Koree, Japonia, Chiny.

Refleksje po przeczytaniu artykułu Prof. Białasa *Chiny 2020* i listu Prof. Hong-Mo („PAUza Akademicka” 537-538)

Prof. Hong-Mo ma rację. Gdzie jednak ma rację największą? Ja ją dostrzegam w uznaniu i podkreśleniu, i w próbie skrótego udowodnienia, że demokracje świata zachodniego znalazły się w obliczu kryzysu i są na początku dróg rozstajnych. A drogowskazów tam nie ma. Jest to kryzys zarówno głęboko filozoficzny, jak i bardzo praktyczny.

Dlaczego dotknął te kraje kryzys? Myślę tak: demokrację w nowoczesnej Europie na wczesnym etapie (mówię tu o całym wieku XIX) pojęto na Zachodzie jako „prawo jednostki do” i jako „uwolnienie od krępującego jarzma” (w tym i pracy). A więc ten, kto potrafił się wygodnie urządzić i żyć przyjemnie, osiągnął raj demokratyczny, zanim zdołał zrozumieć, co taki raj znaczy. „Demokrację” taką znał doskonale świat antyczny; prowadzi ona prostą drogą do cezaryzmu (choć imię „Boskiego Juliusza” użyte jest tu niefortunnie). Takie pojmowanie demokracji doprowadziło obecnie do największego kryzysu federacji amerykańskiej od czasów wojny secesyjnej. Czyli „moja wygoda” = demokracja.

Na Dalekim Wschodzie dobrze zrozumiano fatalność takiego wyboru. Pierwsza, i to w sposób skrajny, w szranki stworzenia czegoś nowego (czegoś niewidzianego dotąd na świecie) stanęła Japonia, wspomagana nieco (technologicznie i finansowo) przez USA. Lojalność klanową przeniesiono w nowy etos pracy: pracy dla dobra klanu (to zwykli ludzie rozumieli doskonale, bo zawsze tak było), ale i dla dobra kraju, ale i dla dobra ludzi. Jednostka, jej aspiracje i uczucia liczyły się, ale były ściśle podporządkowane celom ogólnym. Nieduże pensje, niebotyczne śrubowanie kompetencji, kilkunastogodzinny dzień pracy, mało wypoczynku i czasu wolnego. Gdzie tu demokracja jako wygoda? Nie ma tu „prawa do” – raczej „obowiązek dla”, społecznie akceptowany wybór życia typu „stwórzmy razem coś użytecznego dla wszystkich, z czego możemy być dumni” – a przy okazji może to coś jest piękne? Dobrze się sprzedaje? Inni cenią i mówią o nas? Prawda, Japończycy w końcu trochę się zbuntowali; było im za ciężko i trudno się dziwić. Ale stworzyli coś godnego najwyższego podziwu: nasz etos technologiczny jako wzorzec nowej demokracji.

Za nimi popróbowali tej samej drogi obie Koree. Jakże jednak inaczej i z jak dramatycznie różnym wynikiem! Korea Północna nie

chciała porzucić dziedzicznego cezaryzmu i gorsetu narzuconego przez normy zaadaptowane z Chin Mao Tse-tunga. Jej technologiczne osiągnięcia służą tylko cezaryzmowi. Inaczej Korea Południowa; akcenty są tu inne, ale wynik podobny do wyniku japońskiego.

I wreszcie eksperyment zupełnie niezwykły: Singapur. Mały kraj, multietniczny, różnorodność norm i sposobów życia jest zadziwiająca. Nie sposób mówić o demokracji i ją praktykować na sposób japoński. Nikt nie posłucha. A więc model inny: zestaw surowych praw i reguł egzekwowanych bardzo stanowczo, a równocześnie pomoc państwa, stymulacja i wspieranie kreatywności w sprawach ekonomicznych. Lee Kuan Yew, pierwszy premier Singapuru, zapoczątkował połączenie idei „państwa sterowanego z góry” z ideą „państwa wolności i kreatywności ekonomicznej”. I Singapur, idąc tą drogą konsekwentnie i rozsądnie, stał się potęgą w tej części świata, pośrednikiem ekonomicznym dla wielkich krajów.

Moja hipoteza: Chiny, wielkie Chiny, ojczyzna Lee Kuan Yew, zanalizowały jego sukces bardzo dokładnie. I postanowiły go naśladować. Jak dotąd, udaje się to nad podziw dobrze.

Czy w Chinach nadejdzie czas kompromisu, tak jak to stało się w dzisiejszej Japonii, gdzie bliskie nam ideały ochrony i poszanowania jednostki próbuje się teraz połączyć z przytłaczającym posłuszeństwem interesom klanowym (w Chinach: interesom jednej partii i jednego odgórnego systemu zarządzania)? Nie wiadomo. Droga do tego ideału (z zachodniej perspektywy!) wydaje się jednak daleka. [Tutaj dygresja: A jak to było jeszcze do niedawna w Hong-Kongu i jest w dalszym ciągu na Tajwanie? Tam, w małej skali, eksperyment Lee Kuan Yew znalazł inny kompromis: sukces ekonomiczny bez nakazów z góry i bezwzględnej surowości systemu wobec jednostki. Dlaczego Wielkie Chiny tego nie lubią? Bo nie da się wyników w tej małej skali zastosować w wielkiej skali, a pokusa „wygodnej demokracji” wszak istnieje, i może być zaraźliwa bardziej niż Covid\_19.]

A ogólne zagrożenia? Hipotetyczny trend ewolucyjny w społeczeństwach ludzkich, zmierzający w stronę jak najściślejszej kohezji socjalnej, może się skończyć megaspółeczeństwem à la mrówki lub pszczoły; ale miejmy nadzieję, że będą to mrówko-pszczoły posługujące się kodeksem humanistycznym.

MAREK R. LIPiŃSKI

Rhodes University, South Africa

# Współpraca z Chinami

Szanowny Panie Profesorze,

Z opóźnieniem, ale za to z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w Pauzie Pana artykuł dotyczący Chin, jak i list autorstwa Pana przyjaciela z Wielkiej Brytanii („PAUza Akademicka” numer 537-538). Nie sposób nie zgodzić się z zawartymi tam argumentami, jednak mimo wielu krytycznych uwag prof. Chan Hong-Mo na temat systemu panującego w Chinach, obraz, który kreśli, wydaje mi się zbyt jednostronny. Oczywiście nie wiem, o co go Pan pytał, może jest to po prostu odpowiedź na bardzo konkretne pytania, stąd pewne wątki o wadach systemu zostały pominięte. Niemniej jednak była to dla mnie bardzo ciekawa lektura również dlatego, że obecnie Małopolskie Centrum Biotechnologii UJ prowadzi intensywne rozmowy na temat współpracy z kilkoma uczelniami z regionu Shenzhen i Kantonu. Lokalne władze tych rejonów pragną umiędzynarodowienia chińskich uczelni, co przekłada się na konkretne inicjatywy współpracy, m.in. w dziedzinie biotechnologii.

Zazwyczaj takie inicjatywy typu top-down nie przynoszą wielu efektów, ale w przypadku Chin działa to inaczej. Tam uczelnie – zobligowane przez władze do takiej współpracy – rzeczywiście to robią. Półtora roku temu odwiedziłem kilka uczelni w tych rejonach i wszędzie spotykałem się z wielkim, a czasem nawet entuzjastycznym zainteresowaniem współpracą.

A tak na marginesie, to wydaje mi się, że obecnej sytuacji w Chinach nie można rozpatrywać w oderwaniu od historii tego kraju, mentalności ludzi, dla większości których demokracja jest czymś abstrakcyjnym, bo nigdy jej nie zaznali, a i w szkołach też ich o tym nie uczono ani nie kształtowano demokratycznych postaw. Jak widać, nie tylko na przykładzie Chin, mimo niedostatku swobód obywatelskich poparcie ludzi można sobie zapewnić przez zwiększenie ich dobrobytu, połączone z odpowiednią propagandą. Pytanie tylko, na jak długo.

Życzę wszystkiego najlepszego w Nowym Roku 2021 i serdecznie pozdrawiam

KAZIMIERZ STRZAŁKA

Uniwersytet Jagielloński

# Słabości obecnej parametryzacji (II) Utworzenie „slotów”

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce odbywały się wyścigi rydwanów zaprzężonych w smoki. Smoki miały po cztery nogi, ale jeden miał ich 12 i rydwan ciągnięty przez tego smoka zawsze wygrywał rywalizację. W nauce jest jak w zawodach, nieliczni najlepsi je „wygrywają”, dokonując odkryć, wynalazków, nadając kierunek badaniom, kształcąc rzesze uczniów. Jako przykład dam tutaj nieżyjącego już wybitnego badacza z Krakowa, profesora CMUJ, fizjologa, który przez kilkadziesiąt lat publikował po 20–30 prac rocznie. Pozostaje On jednym z najczęściej cytowanych w skali kraju badaczy (ok 25.000 cytowań). Dokonał znaczących odkryć, wykształcił rzeszę następców, którzy kontynuują badania na wysokim poziomie.

W odległej galaktyce ktoś myślał i myślał, co zrobić z tym wygrywającym smokiem, aż wpadł na pomysł – zostawimy mu tylko cztery nogi! Faktycznie pomogło, rydwan ciągnięty przez tego smoka przestał wygrywać. A u nas w kraju? Był sobie pewien wydział/jednostka nazwijmy ją S (od super). Zatrudniała iksińskiego, igrekowskiego oraz zetowskiego, którzy publikowali dużo i dobrze, a wydział od „zawsze” za ich sprawą dostawał kategorię A+. Co z tym robić? Ktoś myślał, myślał i wymyślił: „zeslotujmy” ich. Od tej pory każdy badacz może przedstawić do oceny cztery „sloty” (mogą to być to np. 4 jednoautorskie prace z okresu ostatnich czterech lat). Jak to wpłynie na parametryzację? – Zobaczmy, są szanse, że wydział ten przestanie być najlepszy.

Sloty stanowią bolączkę obecnych władz jednostek naukowych, zabierając im czas i energię, którą można by skierować w sensownym kierunku. Co ma robić dziekan wydziału czy dyrektor instytucji ze znakomitym badaczem, który w ciągu czterech lat opublikował 20 jednoimiennych prac, z tego cztery w Science i cztery w Nature. Dla niego taki badacz stanowi problem. Po co komu 20 prac – z tego 8 prac w Science i Nature, jeżeli liczyć się będą tylko cztery z nich i dadzą łącznie jednostce 800 punktów (4 x 200). Nie lepiej zwolnić takiego i zatrudnić dwóch, którzy opublikują po cztery prace w pismach za 140 punktów, przynosząc łącznie punktów 1120, albo czterech, którzy opublikują 16 prac w czasopiśmie za 100 punktów, dając 1600 punktów? Może należy takim nadaktywnemu zabrać trochę pieniędzy i dać innym? A może skłonić, by dopisywał tych innych do swoich prac ze wskazaniem innej dyscypliny badawczej? Widzę już ten ból głowy dyrekcyi i ruchy nad „optymalizacją” najbliższej oceny parametrycznej. Cztery sloty i koniec, cała reszta pary idzie w gwizdek.

A należałoby po prostu skrzyżować 12-nożnego smoka ze smokami zwykłymi, tak by po pewnym czasie otrzymać zwycięskie wielonogie potomstwo i przywrócić zawodom rydwanów ich pasjonujący charakter. Temu, kto system wymyślił, należy się wysoka nagroda pieniężna, którą jednak należy „zeslotować”, zostawiając mu cztery złote.

ANDRZEJ PILC

Instytut Farmakologii PAN im Jerzego Maja i CMUJ

## zaPAU

# Nagrody za pieniądze

Jeden z czytelników opisał mi niedawno propozycję, jaką skierowała do niego pewna instytucja zajmująca się m.in. promocją nauki. Poinformowano go mianowicie, że został nominowany do nagrody naukowej przyznawanej przez tę instytucję. Aby wystartować, winien wypełnić odpowiednią ankietę pokazującą jego osiągnięcia oraz zamówić „promocję”, dzięki której te osiągnięcia zostaną upublicznione w mediach. Koszt „promocji”: w zależności od wybranego zakresu, od 5500 do 25 tys. złotych plus 23% podatku. Najwyższa kwota daje np. możliwość udziału w roli eksperta: artykuł w poważnym ogólnopolskim czasopiśmie oraz nagranie wideo. Ponadto uzyskanie nagrody daje „możliwość legitymowania się otrzymanym tytułem i używania odpowiedniego logo”.

Na pytanie, czy można kandydować do nagrody bez wykupienia promocji, otrzymał odpowiedź, że na końcowe rozstrzygnięcie ma też wpływ zakres wybranej promocji. W tej sytuacji nasz czytelnik zrezygnował z ubiegania się o nagrodę.

Wydaje się, że ktoś zorganizował znakomity interes, wykorzystujący naiwność i próżność młodych adeptów nauki (piszę: młodych, bo chyba jednak nikt z doświadczonych uczonych na coś takiego nie da się nabrać).

Trzeba przyznać, że pomysł nie jest całkowicie oryginalny. Słyszałem już o podobnych inicjatywach w Stanach Zjednoczonych, gdzie za drobną opłatą, powiedzmy, tysiąca dolarów, można otrzymać pięknie oprawiony dyplom (do powieszenia na ścianie gabinetu), stwierdzający, że właściciel został wybrany „człowiekiem roku” lub „Członkiem Akademii X”. Tam jednak wszyscy zazwyczaj wiedzą, co to oznacza. W Polsce to nowość, o czym świadczy lista „nagrodzonych” (opublikowana w Internecie), gdzie znajdujemy nazwiska z afiliacjami najlepszych polskich uczelni. Niektóre uczelnie chwalą się nawet w oficjalnych komunikatach tym „wyróżnieniem” swoich pracowników.

Wszystko to przypomniało mi, że przeszło dwa lata temu napisałem tekst „Śmiertelne niebezpieczeństwo” (PAUza 431). Tym dość dramatycznym tytułem chciałem zwrócić uwagę czytelników na zagrożenie, jakie dla jakości badań naukowych oraz dla obrazu nauki w społeczeństwie stanowi powszechna ucieczka dzisiejszego świata od rzeczywistości i zastępowanie jej obrazem medialnym. Pisałem wtedy:

*Trudno nie zauważyć, że dzisiejszy świat jest całkowicie zdominowany przez SPEKTAKL. Wszędzie: w polityce, w kulturze, w Internecie, a nawet (a może przede wszystkim) na giełdzie, rzeczywistość odgrywa coraz mniejszą rolę. Liczy się obraz medialny, liczą się pozory. SPEKTAKL pożera rzeczywistość. Z pewnym przerażeniem obserwuję, że ten potwór zbliża się niebezpiecznie blisko do nauki, grożąc zagładą.*

*Celem nauki jest bowiem POSZUKIWANIE PRAWDY [...] oraz komunikowanie wyników, czyli przekazywanie prawdy pozostałym uczonym, a także otaczającemu światu.*

*To nigdy nie było łatwe: z historii wiemy, że wielu wybitnych uczonych zapłaciło wysoką cenę za trzymanie się tej zasady. Nie jest to*

*łatwe również dzisiaj. Współczesne społeczeństwo jest wszak przepętnione kłamstwem. Można chyba nawet powiedzieć, że jesteśmy rządzani kłamstwem. Politycy, sprzedawcy, korporacje, media używają stale kłamstw jako bardzo efektywnego narzędzia i to tak często, że przestaje nas to już razić. Wówczas ktoś, kto wystaje poza tę linię, próbując być prawdomównym w życiu publicznym, musi wyglądać na prymitywa lub głupaka, a w najlepszym razie na naiwniaka.*

*W tej sytuacji bronię tezy, że zawód uczonego wymaga właśnie tej głupoty, tej naiwności, tej skrajnej uczciwości. W świecie, który ucieka od rzeczywistości, zastępując ją spektaklem, jesteśmy – na nasze nieszczęście, a może jednak szczęście – postawieni w niewdzięcznej roli „strażników prawdy”. Społeczeństwo, publiczność, oczekuje, a właściwie domaga się naszej prawdomówności. To jest podstawa autorytetu, jaki nauka i uczeni ciągle jeszcze mają.*

*Dlatego właśnie trzeba piętnować rozpalonym żelazem odchylenia od naukowej uczciwości. Tu panuje pełna zgoda i ten aspekt życia naukowego nie jest, jak dotąd, poważnie zagrożony. Ale w relacjach ze światem, ze społeczeństwem, jest problem. Bo prawda jest trudna i świat jej słuchać nie chce. Świat chce się bawić, chce SPEKTAKLU. [...] Tę potrzebę spektaklu starają się zaspokoić media, na ogół z fatalnym skutkiem. Zazwyczaj podkreślają bowiem tylko praktyczne lub „sensacyjne” rezultaty badań [...]*

*Wszystko to nie byłoby może tak bardzo groźne, gdyby nie wciągało również samych badaczy. Uczni to jednak też tylko ludzie. Kiedyś wystarczało, gdy zdobywali uznanie w kręgu fachowców. Ale dzisiaj to za mało. Dzisiaj sukces wymaga spektaklu dla mas i trzeba wykazać się niemal heroizmem, aby oprzeć się temu ciśnieniu, od którego zależą kariera, pozycja w środowisku i pieniądze na badania.*

*A masy domagają się, żeby było łatwo i żeby było pożyteczne. No to jest łatwo i pożyteczne. Deklarujemy wielkie odkrycie co tydzień. Nową nadzieję dla ludzkości co dwa. Nie, to nie są kłamstwa, to tylko drobne korekty, optymistyczne interpretacje („przyrzekamy wedle swych nadziei, dotrzymujemy wedle swych obaw” – zauważył już dawno sławny Francuz). I tak właśnie systematycznie pozbawiamy się zasad.*

*Wiadomo jednak, że nie da się oszukiwać wszystkich bez końca. Obawiam się, że rzeczywistość i społeczeństwo właśnie wystawiają nam słony rachunek. Obserwuję ze zgrozą, jak w kształtowaniu opinii gęsta zastępowa naukę, szalbierze zastępują uczonych, a złudzenia zastępują fakty. Czy można jeszcze temu zaradzić? To dobre pytanie.*

*Widąc, że w roli Kasandry okazałem się mało przewidujący, wręcz naiwny. Do głowy mi bowiem nie przyszło, że ktoś zechce wykorzystać to ciśnienie spektaklu oraz miłości własnej (którym wszyscy w mniejszym lub większym stopniu podlegamy), do zorganizowania instytucji bez żenady wykorzystującej te ludzkie słabości, podważając – przy okazji – resztki prestiżu jaki nauka ma jeszcze w naszym społeczeństwie.*

*A powinienem, jako fizyk, pamiętać o zasadzie: jeżeli coś jest możliwe, to wcześniej czy później, zostanie zrealizowane.*

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.